

Przystojna dziewczyna, blada i wzruszona, chwyciła mnie za kłapę paltota.

— Co się z nami dzieje? zapytała poważnie.

— Nie wiem, pani — odpowiedziałem. W tej samej chwili jakiś młodzieniec odciągnął ją za rękę.

— Chodź tu, Lotto i bądź spokojna — słyszałem, jak do niej mówił.

Dziewczyna usunęła się, a na jej miejscu stanął jakiś starzec. Widziałem, że drgała mu usta, że cała twarz kurczy się wysiłkiem; chciał przemówić do mnie, lecz nie zdołał. Usunąłem się; nie mogłem patrzeć na niego.

— Karolu! — rzekłem sam do siebie — i ty się trochę boisz, to prawda, ale tak przecież głowy nie straciłeś, jak ten biedny stary. Trzymajże się chłopcze!

Tego, co bezpośrednio potem nastąpiło, już nie pamiętam. Wiem, że okręt przechylił się i kotłował, że ochrypłym głosem jakieś rozkazy rzucano z mostku kapitana, że księżyc to świecił, to chował się za chmury, że morze czarne było i wzburzone; gdzieś z przedniego pomostu dolatywała nuta pobożnego hymnu... Ja tylko wiedziałem, że jestem — o tem, co robię, co się ze mną dzieje nie miałem przez dłuższą chwilę żadnej świadomości. To jakieś zaćmienie równie tajemniczo minęło, jak przyszło. Jakbym się nagle przebudził, spokojny już i chłodny. Ciekawość mnie ogarnęła i zacząłem pytać różnych ludzi, co się to stało. Nikt jednakże nic nie wiedział. Właściwie to oni mnie ledwie słyszeli i odpowiadali bez związku, jakby w malingrze. Zacząłem więc sam się rozglądać uważnie. Pogoda, wciąż jeszcze trochę chmurna i wietrzna, poprawiła się jednak widocznie. Można było dokładnie widzieć światelka na francuskim brzegu. Maszyny okrętowe stanęły; kapitan stał na mostku, wychylał się i osłaniając usta rękami, wydawał rozkazy oficerowi na dole. Majtkowie wciąż jeszcze pracowali nad odczepieniem ratunkowej łodzi. Pasażerowie stali, nie wiedząc co robić, może oniemieli z przerażenia, ale już teraz przeważnie i opanowani. Niektórzy mieli na sobie pasy ratunkowe.

Rakieta wystrzeliła w niebo, za nią druga, trzecia, czwarta, sycząc opadła na pokład i rozprysła się iskrami...

— A więc to jest rozbicie okrętu! — wykrzyknąłem. — I znowu mnie to spotyka. Wyratowałem się z rozbicia pociągu po to jedynie, ażeby wpaść w morze! Co za szkaradny pech!

Jakoś już przestałem być ciekawy, co też właściwie spowodowało katastrofę; starałem się poprostu pogodzić się z tem, że toniemy.

Co za przeklęty pech! — szeptałem sam do siebie.

I myśli moje pobiegły ku Rozie. Co ona powie, co też ona czuć będzie, gdy się dowie, że utonąłem w Kanale?...

Utonąć!... Ależ są przecież łodzie ratunkowe, są pasy ... ja umiem pływać!...

Wychyliłem się poza baryerę pomostu, by się przekonać, czy też okręt się zanurza. Woda nie sięgała wysoko i to mnie pocieszyło na chwilę. Na krótką jednak tylko chwilę... Wnet zaczęła mnie niepokoić pozorna bezczynność załogi. Przytem drażnił mnie i przygnębiał śpiew pobożnych hymnów, z różnych stron płynący.

Człowiek, który wpadł do salonu z krzykiem: „Gdzie moja żona?“ zjawił się znowu i stanawszy niedaleko odemnie, zaczął się spieszenie rozbierać. Patrzyłem na niego. Zdążył zdjąć surdut, kamizelkę, buty, gdy wtem spokojny jakiś, rozśmieszony głos czyjś przemówił:

— Na pańskim miejscu nie robiłbym tego. Najpierw, wie pan, jest trochę chłodno. A potem uważa pan, damy są obecne...

Tamten, nie mówiąc słowa, zaczął się również spieszenie ubierać. Zwróciłem się ku mówiącemu. Był to tensam młodzieniec, który odciągnął dziewczynę za rękę, gdy po raz pierwszy wyszedł na pokład. Teraz ona wspierała mu się na ramieniu, chustką otuliwszy głowę. Oboje najzupełniej panowali nad sobą. Zadziwiła mnie zwłaszcza pogoda twarzy młodzieńca, wprost niezrównana.

— Może pan zapali? — zwróciłem się do niego, wyciągając papierosnicę.

— Dziękuję panu.

— Czy pan przypadkiem nie wie, co się to właściwie stało?

— Nastąpiło zderzenie — odrzekł — jedno z kół uszkodzone, zepchnięto nas bokiem na mieliznę i to nas chwilowo uratowało.

— Jakżesz się to stało?

— Nie wiem.

— A gdzież ten okręt, który w nas uderzył?

— Tam gdzieś, jakieś pięć czy sześć kilometrów stąd — wskazał na północny wschód. — Uważa pan, jedno z kół utracone, a gdy odpadło, statek przechylił się na bok drugim bokiem ponad poziom wody. Ciężkie są te koła.

— A my czy zatoniemy?

— Nie wiem. Za pół godziny będę wiedział więcej. Tam pod siedzeniem ukryłem dwa pasy ratunkowe. Niema co obnosić się z tem zawczasu. Zimno ci, Lotto? Pójdźmy się przejść. Do widzenia panu.



Radzę panu, nie jechać lepiej do Paryża!

I znowu oboje poszli. Dziewczyna nie patrzyła na mnie, ani ja na nią. Nie obchodziła jej widocznie nasza rozmowa. Zacząłem gwizdać półgłosem. Nagle jednak umilkłem przejęty. O parę kroków stała owa tajemnicza postać, którą ostatnio widziałem w wagonie kolejowym w Sittingbourne. Jak zwykle, niewzruszony, szyderski, straszny... Twarz jego, którą przypadkiem blask latarni oświecił, blada była i nieruchoma, jak z marmuru wykuta, ciemne zaś oczy spoczywały na mnie hypnotyzującym spojrzeniem. I znowu zawładnęło mną uczucie, że padam ofiarą jakiegoś spisku, któremu ten nieubłagany przewodzi. I znowu zaczęła mnie gnębić ta sama duchowa udreka, co wtedy w wagonie i znowu uczułem się bezradny i oszołomiony. Miałem wrażenie, jak gdyby jego istnienie rzuciło cień na moje i jak gdyby on tajną jakąś nicią wiązał się ze śmiercią Alreski. Kto wie, może istniał jakiś spisek, którego drobnym szczegółem tylko była zazdrość Karlotty Deschamps? Może ja nieopatrznie zawiklałem się w sieć intrygi, której granic i rozgałęzienia nie obejmowałem?... I byłem jak ktoś, co znalazłszy się w ciemnościach, w nieznanym miejscu, nie śmie iść ani naprzód ani w tył, bo nie wie, co mu grozić może.

Być może, że byłem mocno zdenerwowany, je-

żeli takie wrażenie czynił na mnie prosty widok człowieka — człowieka, który zresztą nie przemówił do mnie ani słowa. Bardzo być może. Jednakże dotychczas byłem człowiekiem spokojnym, zrównoważonym, bez chorobliwej nadwrażliwości. Już nawet nie pytałem, jakim sposobem dostał się na nasz statek, jakim sposobem uniknął śmierci, jak to być mogło, że go tam, na miejscu katastrofy, nie zauważyłem?... Dość, że tu był. Dość, że mnie ścigał... że mnie prześladował.

Nagle na widnokręgu ukazała się ciemna sylweta zbliżającego się ku nam parowca. Pasażerowie dostrzegli go i niespokojne oczekiwanie poruszyło wszystkich. Tylko ten wrogi człowiek, naprzeciw mnie stojący, nie obejrzał się nawet w tę stronę. Nie spuszczał mnie z oczu. Okręt przybliżył się tak, że rozróżnić już było można ciemną postać stojącą na mostku. Tuż w naszym pobliżu maszyna stanęła. Zaczęli ku nam wołać. Czekaliśmy na odpowiedź, na wezwanie ze strony naszego kapitana, ale żadnej odpowiedzi nie było. Po dwakroć wzywano bezskutecznie.

— Dlaczego nasi nie odpowiadają? — zapytał ktoś z publiczności.

— Bo głupcy są! — odpowiedziałem szorstko, dając folę rozdrażnieniu.

Parowiec ruszył i zniknął wkrótce wśród nocy.

Czy też ja śnię? Czy to rozbicie na żarty? Tu przyszło mi na myśl, że kapitan, ufając, że sam sobie da radę, wołał ze względów oszczędności odmówić pomocy, aby nie płacić drogo za koszt ratunku.

Mój dzielny młody człowiek, spacerujący w koło z panią pod rękę, przybliżył się znowu do mnie i przystanął dla pogawędki.

— Ciekawa historia — rzekł.

— Co takiego?

— Ot, dowiedziałem się, jak to było z tem zderzeniem.

— No, więc jakżeż się to stało?

— W ten sposób. Kapitan był na mostku, a sternik przy kole sterowym. Mglisto było i wietrzno, gorzej niż teraz. Nagle wartownik zawołał, że widzi statek jakiś, płynący naprzeciw. Kapitan kazał sternikowi skrócić ku brzegowi, by tamten statek wyminąć. Tymczasem zamiast tego, ten idyota skierował prościuteńko na statek i nim kapitan mógł temu zaradzić, ten obcy statek potrafił nas i zepchnął bokiem na mieliznę. Jeszcze szczęście, że nas tam zepchnął, inaczey byłby nas na pół przedziurawił.

— Jakżeż sternik się tłumaczy?

— To właśnie ciekawe. Naturalnie, okropnie jest przerażony, ale już odzyskał mowę. Powiada, że w chwili gdy kapitan wydawał rozkaz, jakaś trzecia osoba wbiegła na schodki ku mostkowi i tak go przestraszyła, że całkiem stracił głowę i zrobił wszystko na opak.

— Dziwne gadanie!

— Spodziewam się. Ale on przy tem obstaje. Nawet twierdzi, że mu owa tajemnicza osoba kazała tak zrobić. Ale w tem naturalnie nie ma najmniejszego sensu.

— Ten człowiek musiał zwaryować.

— Jąbym myślał, że on musiał być pijanym, ale nie wygląda na to.

— Więc zdawałoby się, że prawdziwego niebezpieczeństwa niema?

— Sądze, że nie. Mogło być gorzej. Prawdziwe szczęście, że zapaniśmy się bokiem o tę mieliznę, a także szczęście, że morze tak się raptownie uspokoiło. Przy takim uszkodzeniu, prawdziwie burzliwe morze byłoby się z nami prędko zlatwiło...

Milczeliśmy przez chwilę. Dziewczyna od niechcena rozglądała się dokoła; oczy jej padły przypadkiem na twarz tajemniczego mężczyzny. Wstrząsnął nią dreszcz.

— Ach! — wykrzyknęła stłumionym głosem — jakżeż straszną twarz ma ten człowiek.

— Gdzie? Który? — zapytał towarzyszy.

(Ciąg dalszy nastąpi).